

Wies

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok III

Łódź, 2 czerwca 1946 r.

Nr 21 (49)

EUSTACHY NOWICKI

„Co się dzieje w Uniwersytetach Ludowych?”

Na marginesie rozważań J. A. Króla

Usiłuje nas o tym poinformować artykuł Jana Aleksandra Króla w n-rze 13 „Wsi” na podstawie posiadanych przez Redakcję materiałów obrazujących powszedni, typowy dzień U. L. w rozmaitych regionach kraju. „Mówić będziemy — pisze autor — o tym, jak same siebie widzą uniwersytety ludowe”.

Stwierdza więc Autor, że cechą uderzającą każdego, ktoby zajrzał w te materiały albo odwiedził osobiście którykolwiek uniwersytet — to literackość życia tych instytucji, gdzie „rzeczą najważniejszą dla wychowanków i wychowawców jest — atmosfera uniwersytetu, że jest ona tu systemem, ona dokonuje selekcji, rozkłada akcenty i nadaje nowe znaczenie materiałowi programowemu, a nawet go przetwarza i „dobudowuje, zgodnie ze swymi prawami” (ciekawo to jakaś atmosfera, która takie cuda czyni — przyp. mój). Okazuje się dalej, że atmosferę tę organizują czynniki literacko-artystyczne jak: śpiew i śpiewność, motoryczna wszędzie wierszomania powszechna, widowiskowość, prymat literatury i literackości, wreszcie imprezy literacko-artystyczne.

Chcę wierzyć, że w niejednym z pracujących współcześnie uniwersytetów lud. mogą istnieć tego rodzaju dywagacje, zwłaszcza życie do pracy personel wychowawców na tej drodze ułatwia sobie pracę z młodzieżą; podejrzewam nawet, że wypadków takich jest dziś stosunkowo wiele.

Ale wypadki te nie mogą dawać podstawy do wysnuwania wniosków o „ucieczce od życia”, o wytrącaniu młodzieży z prawdziwych, obowiązujących ją dziejów, cofaniu się do epoki „Młodej Polski” i tym podobnych wykołajeniach, które by prowadzić musiały do fałszywego rozumienia rzeczywistości i od niej młodzież odwracać.

Zjawiska, które notuje autor i opiera na nich daleko idące wnioski, są wynikiem tego, że w przeciągu bardzo krótkiego czasu powstała nieproporcjonalnie wielka ilość uniwersytetów ludowych (dziś około 60), które poza warunkami lokalowymi (i to nie zawsze) i gospodarczymi (resztówki z reformy rolnej) nie posiadają i do tej chwili nie posiadają najważniejszej podstawy dla rozumnej pracy wychowawczej, jaką zawsze stanowi odpowiedni personel wychowawców. Pod wpływem nacisku z dołu, bądź ze strony młodzieży bądź organizacji społecznych, podejmowali się prowadzenia pracy w uniwersytetach lud. często ludzie, prawdopodobnie na lepszej woli, lecz nie posiadający ani przygotowania rzeczowego do tej trudnej pracy, ani, często, znajomości samej jej organizacji, programu i metod właściwych uniwersytetom ludowemu. Taki stan rzeczy, jako rezultat mody na uniwersytety lud., musi wywoływać żywą troskę o to, by nie zdepopularyzować instytucji i jak najrychlej przysłać jej z pomocą.

Ta obawa o kierunek dalszego rozwoju uniwersytetów lud. skłoniła właśnie Tow. Uniw. Lud. R. P. do podjęcia akcji szkolenia wychowawców dla uniwersytetów lud., co się już obecnie odbywa, w najbliższej zaś przyszłości przeszkolenia personelu już w pracy uniwersytetów lud. zatrudnionego. Ta sama troska, chcąc wierzyć, podyktowała i Redaktorowi „Wsi” jego na ten temat uwagi.

Mam pełną świadomość tego, że w pracy istniejących współcześnie uniwersytetów ludowych może być dużo niewłaściwości, wadliwego organizowania pracy, błąkania się wśród różnych „widzi mi się” nieprzygotowanych do pracy wychowawców, i dobrze jest, że autor wady te wskazuje: niepodobna jednak zgodzić się z tym, aby odpowiedzi ankietowe na temat: „co się dzieje w uniwersytetach ludowych” mogły stanowić wystarczający materiał do podważania podstaw pedagogicznych instytucji wychowawczej, która

zarówno zagranicą jak i u nas legitymuje się wynikami pierwszorzędnej społecznej wartości.

I tak w oparciu o cytowane od czasu do czasu wyjątki z materiałów ankietowych stwierdza autor, „że panującym w uniwersytetach lud. (już w ogóle, nie w dzisiejszych konkretnych wypadkach — uw. moja) jest estetyzm, który izoluje młodzież od współczesnej rzeczywistości”. Jako na źródło tego stanu rzeczy wskazuje autor na stwierdzenie jednej z ankiet, że uniwersytet ludowy ma wychowywać, a nie kształcić. Wypada się więc w związku z tym zastanowić przez chwilę, jakie jest zadanie uniwersytetu ludowego.

CZYM JEST UNIWERSYTET LUDOWY, A CZYM BYĆ NIE MOŻE

Trzeba stwierdzić od razu na wstępie, że ankietę trafnie określiła zasadnicze zadanie uniwersytetu ludowego.

Uniwersytet ludowy bowiem ma być „szkołą życia” — jak to już sformułował Grundtvig — ma być instytucją wychowującą do świadomego i czynnego udziału w życiu społecznym, przeznaczoną dla dorosłej młodzieży wiejskiej, która ma zamar pozostać na wsi w swoim dotychczasowym rolniczym, a nie pragnie porzucić w tej swej społecznej roli być w pełni zorientowaną. Młodzież ta jest w swej większości intelektualnie surowa, reprezentuje średnio biorąc, przygotowanie czteroklasowej szkoły powszechnej, ale jest bardzo spragniona wiedzy i to takiej, która by jej dostarczyła materiał do zbudowania sobie poglądu na świat i życie, a przynajmniej dała choćby najogólniejsze podstawy tego, co nazywamy wykształceniem ogólnym, pozwalając jej w oparciu o ten wypracowany, a nie tylko „przyjęty” światopogląd uczestniczyć w budowaniu swego indywidualnego i społecznego życia. Rzecz jasna, że w ten sposób nie formułuje młodzież swoich dążeń, bo jej na to jeszcze nie stać, w wypowiedziach swych jednak zabarwionych zazwyczaj mocno uczuciem i właściwą okresowi młodzieńczemu dynamiką pragnień — dążenia takie i takie potrzeby wyraża niedwuznacznie.

Wynika to właśnie z charakterystycznego dla wieku młodzieńczego okresu idealizmu, że tęskni do obcowania z wiedzą, poezją, sztuką, że skłonna jest do entuzjazmu dla ideałów, które ją porywają. Jest to właśnie to stadium życia człowieka, w którym ze względu na te cechy psychiczne najbardziej potrzebuje opieki wychowawczej i umiejętnego kierownictwa. Dobry zaś wychowawca uniwersytetu lud. te cechy młodości wyzyskuje dla zbudowania trwałych podstaw życia psychicznego młodzieży, co pozwala jej szczęśliwie przezebrać poprzez rafy i skały bezpłodnego marzycielstwa i pustych tęsknot i dotrzeć do tego punktu na horyzoncie zjawisk życia, z którego można je objąć już w całości, realnie ocenić i ustalić drogę własnego marszu życiowego.

Dlatego za główny i zasadniczy swój cel uważa uniwersytet ludowy uświadomienie życia umysłowego młodzieży, pokazanie jej rozległego świata zjawisk składających się na obraz dawnego i współczesnego życia, wprowadzenie jej wreszcie w rozumienie praw rządzących życiem, by na tej drodze ułatwić młodzieży określenie swego własnego w nim miejsca, swej własnej czynnej i twórczej w nim roli.

Stawiając sobie te zadania posługuje się uniwersytet ludowy właściwym sobie programem i metodami pracy, odbiegającymi od programów i metod szkolnych. Gdy bowiem szkoły posiadać muszą programy sztywne, podające określony zakres wiadomości, jakie uczeń zobowiązany jest sobie przyswoić, ażeby odpowiedzieć wymaganiom egzaminów — uniwersytet ludowy, nie przygotowując do żadnego konkretnego zawodu (wychowanek

jego już zawód posiada) i nie posługując się egzaminami, może w zakresie programu poruszać się swobodnie, może dobór materiału naukowego pozostawić swobodnej ocenie wykładającego wychowawcy; chodzi tylko o to, żeby ten wybrany materiał naukowy oraz sposób jego ujęcia i podania był taki, aby spełnić mogły zadanie budzenia zainteresowań umysłowych słuchaczy i prowadziły do zrozumienia współczesnego życia, sił w nim działających oraz własnych zadań życiowych.

Ponieważ uniwersytet ludowy ma ambicję objąć swym zasięgiem, o ile możliwości, całą dorosłą młodzież wiejską, która związana jest warunkami swej pracy rolniczej, może pozwolić sobie tylko na krótki okres oddziaływania na wychowanków w porze, gdy są swobodniejsi od zajęć gospodarskich. Jest to okres 4—5 miesięcy wystarczający na to, by rozbudzić zainteresowanie umysłowe młodzieży, lecz o wiele za krótki, aby przyswoić wychowankom gruntowną wiedzę o życiu; tej muszą się już dorabiać sami, skoro mają wskazany kierunek i zetknęli się w uniwersytecie ludowym z książką, czasopiśmie i gazetą.

Jest więc rzeczą zrozumiałą, że uniwersytet ludowy nie może pod tym względem konkurować z żadną szkołą, która ma za zadanie dawać taką czy inną wiedzę. Może on co najwyżej otworzyć przed swymi wychowankami wrota na świat szeroki i wskazać przez nie drogę wiodącą do zdobycia wiedzy. A jeśli obudzić potrafi jej pragnienie, dokona już przez to samo rzeczy nie malej.

Rozporządzając tak krótkim okresem pracy i mając do wykonania nie łatwe z istoty swej zadanie, musi się uniwersytet ludowy posługiwać inną metodą pracy, niż każda inna szkoła. Z jednej więc strony opiera się na żywym słowie wykładu, z drugiej zaś na takiej organizacji życia wewnętrznego zakładu, żeby znalazło się w nim dość miejsca na pracę samokształceniową wychowanków o charakterze zespołowym, gdzie w dyskusjach na tematy z życia czerpane i bliskie środowisku wychowanków zdobywają sobie wgląd w najistotniejsze jego potrzeby i sposoby ich zaspakajania.

W związku z tą odrębnością charakteru uniwersytetu lud. w zestawieniu z innymi szkołami rozwinęła się tutaj swoista metoda popularyzacji wiedzy, ujmowanej w wielkich historycznych liniach rozwojowych, i to nie tylko w naukach humanistycznych, lecz również w matematyczno-przyrodniczych. Wspominany przez autora La Cour stał się głośnym w historii duńskich uniwersytetów ludowych nie „przez konkretne zastosowanie nauk matematyczno-fizycznych”, lecz przez zapoczątkowanie traktowania tych nauk w historycznym ujęciu. Historyczna zaś metoda nauki matematyki i przyrody polega, krótko mówiąc na tym, „że nauczanie obejmuje rozwój przewodnich idei, a uczniów prowadzi się do tego, żeby przez pojawienie się najsłabszych odkryć przeżywali je powtórnie. Nauczanie matematyki i przyrody opiera się zatem dosłownie na tej samej zasadzie, co i nauka historii” (por. La Cour og J. Appel-Historisk Physik. Kopenhaga). Czyżby i La Cour trzeźwy i empiryczny fizyk był pod urokiem „fałszywego cienia Grundtviga” i „szkodliwego symbolizmu”!

Z tego, co powiedziano dotąd, wynika wyraźnie, że uniwersytet ludowy nie może być szkołą kształcąca w wiedzy, ani dla praktycznego szkolenia w zawodzie (uczynia to lepiej szkoły zawodowe), ani tym bardziej kursem szkolącym działaczy organizacyjnych, do czego nie ma kompetencji.

I oto odnaleźliśmy źródło, z którego wpływają najczystsze zarzuty, że uniwersytet ludowy „cierpi na nieokreśloność zainteresowań i równocześnie na zbyt szeroki zakres

zainteresowań”. Zarzuty to zresztą nie nowe; znane były w pewnym okresie i w Danii, zanim się nie przekonano o ich niesłuszności, znamy je też i w Polsce z okresu międzywojennego, pojawiają się — jak widać — i obecnie.

Zapewne można rozumieć niecierpliwosć ludzi, stojących u steru różnych prac w dziedzinie organizacji i odnowy życia polskiego, gdy widzą, że tak wolno dopływają świeże do działania siły, mimo, że tyle pola pracy leży odłożym z braku przygotowanych pracowników (fachowych, organizacyjnych, partyjnych itd.), lecz akcję tę uzupełniania szeregów trzeba podejmować na innej, właściwszej płaszczyźnie, działalności zaś wychowawczej należałoby pozostawić swobodę organizowania sobie warunków i metod pracy najdogodniejszych dla realizacji celów, którym służą. Jest to tym bardziej wskazane, że czynią to one w interesie tych samych zadań społecznych. Ludzi przygotowanych do pracy społecznej potrzebujemy nie tylko na dziś, potrzebować ich będziemy także w jutro. Niechże się więc do niej w spokoju wychowują.

„FAŁSZYWY CIEN GRUNDTVIGA I SZKODLIWY SYMBOLIZM”

Uniwersytety ludowe polskie w rzeczy samej opierają się w swych założeniach ideowo-programowych na zasadach pedagogicznych Grundtviga i w tym sensie można by je nazwać grundtvigiańskim, gdyby z tym określeniem nie wiązały się pewne cechy religijno-filozoficzne które charakteryzują uniwersytety ludowe duńskie, obce zaś są polskim; ale nie „wszystko, co się dzieje w uniwersytecie ludowym, idzie na rachunek Grundtviga”, cała bowiem dziedzina pracy, składająca się na wewnętrzne życie zakładu, równie silnie akcentowana jak praca wykładowa, jest rezultatem myśli i doświadczeń polskich, nie mających odpowiednika w uniwersytetach ludowych duńskich.

Szczuple ramy artykułu nie pozwalają niestety na szczegółową dyskusję na temat Grundtviga, dlatego nie będę się wdawał w polemikę, na ile Grundtvig, jako dziecko swej epoki, był w swym działaniu romantykiem, pozwolę sobie tylko zauważyć, że czynne jego życie rozwijało się zarówno w epoce romantyzmu, jak też i w okresie pozytywizmu (żył 1783—1872). Nie wszczynam w tej materii dyskusji, ponieważ kwestia ta nie wiąże się z naszym właściwym zagadnieniem, sprostować chcę tylko, że objaśnianie charakteru duńskich uniwersytetów ludowych wpływami romantyzmu nie pokrywa się z historyczną prawdą. Grundtvigowi bowiem w jego trosce o zbudowanie nowego narodowego systemu wychowania młodzieży nie chodziło „o wywołanie w ludzie uczucia, że należy do narodu duńskiego i gotów się bić za wolność Danii”, gdyż to czyniła od dawna szkoła elementarna, lecz właśnie o to, by wychowanie nie zamykało się w werbalizmie patriotyzmu politycznego, jak to było dotąd praktykowane w szkolnictwie duńskim, by nie wyzerpywało się w fałszywie rozumianym humanizmie, lecz by się oparło na pierwiastkach czysto duńskich, które były do znalezienia w owym czasie tylko w ludzie duńskim, w duńskim chłopie. Chodziło tu Grundtvigowi o wprowadzenie duńskiego chłopca z jego zabięgiwą pracą, realizmem myślenia, głębokim zrośnięciem się z nieznanymi źródłami starej narodowej kultury w krąg oddziaływania kulturalnego przeestetyzowanej epoki, w jakiej się Dania wtedy znajdowała, a nie o realizowanie ludowych hasel romantyzmu. Akcentowana przez Grundtviga „Folkelighed” — to coś znacznie innego, niż ludowe balamucenie się romantyzmu.

Także rezultat przegranej wojny w r. 1864 wyrażał się nie w tym, że „Dania utraciła

wprawdzie część swego terytorium, ocalała jednak wolność” lecz w tym, że wojna ta wykała kompletne bankructwo dotychczasowych przewodnich klas w narodzie duńskim, liberalnego mieszczaństwa i konserwatywnej szlachty i kazała ludziom dalej widzącym szukać ratunku dla narodu w wprowadzeniu do kierownictwa nim warstwy chłopskiej.

I właśnie tragedia r. 1864 stała się punktem wyjścia dla rozwoju duńskich uniwersytetów ludowych, które stać się miały szkołami przygotowującymi młodą wieś duńską do wielkiej pracy nad odrodzeniem gospodarczym i politycznym kraju. Kiedy do roku 1864 uniwersytetów lud. było zaledwie jedenaście, po tym roku w ciągu najbliższych lat 10 liczone już 54 zakładów tego typu, a frekwencja w nich z roku na rok wzrastała. Było to zjawisko naturalne w dobie zdobywania przez demokrację duńską a przede wszystkim przez wieś duńską pozycji społecznej i politycznej w kraju.

Skoro już prostować wypadło błędną interpretację historii rozwoju duńskich uniwersytetów ludowych, to nie można pominąć charakterystyki poszczególnych okresów rozwojowych, którą podejmuje autor dla podtrzymania tezy o „szkodliwym cieniu Grundtviga”. Stając na gruncie tego podziału, trzeba stwierdzić od razu, że okres przypadający na drugą połowę XIX stulecia, zwłaszcza po r. 1864, charakteryzuje się nie przewagą fizyków (jak La Cour), „którzy torują tu drogę nie fantazjowaniu o tajemnicach bytu, lecz konkretnemu zastosowaniu nauk przyrodniczych” (praktycznie nie stosowano w uniw. lud. nauk przyrodniczych), tylko w pierwszym rzędzie tym, że uniwersytety ludowe obok szkół rolniczych i spółdzielczości weszły w orbitę oddziaływania narastającego ruchu chłopskiego, który coraz śmielej wkroczył do życia duńskiego, jako czynnik konstruktywny, zwłaszcza na odcinku gospodarczym i politycznym. Uniwersytety ludowe były wówczas rezerwuarem zasilałym ten ruch kulturalnie i stał ich rozwój, popularność i doniosła rola społeczno-kulturalna w życiu Danii tej epoki.

Ale kwestia ścisłości czy nieścisłości obrazu rozwojowego duńskich uniwersytetów ludowych posiada dla naszej dyskusji drugorzędne znaczenie. Wspominam o tym dlatego, by wskazać, jak daleko i jak ryzykownie zagalopować się można w ocenie zjawisk historycznych przy powierzchownym ich potraktowaniu. Uogólnienia bowiem mają to do siebie, że są tym prawdopodobniejsze im bogatszym rozporządzają materiałem faktycznym.

I tak dla autora wypływa z jego rozważań jedynie wniosek: „Nie wzywajmy na ślepo imienia Grundtviga, nie bądźmy pawiem i papugą chłopskich narodów”. Dla ludzi zaś, którzy z pracą uniwersytetów ludowych zetknęli się zbliska, oparcie się w wychowaniu młodzieży chłopskiej na zasadach pedagogicznych Grundtviga jest gwarancją celowości tej pracy i jej głębokiego sensu społecznego, a równocześnie jest zabezpieczeniem przed tak nęcącym zwłaszcza w okresach — jak dziś — przełomowych odkrywaniem Ameryki po raz wtóry. Zostawmy trochę w tym zasługi także Kolumbowi.

Punkt ciężkości jednak rozważań autora nie spoczywa na tym, co zapowiada tytuł artykułu, lecz dotyka najogólniejszych celów wychowawczych uniwersytetu ludowego.

Cele te wyrażają się w dążeniu do przebudowy wewnętrznej młodego człowieka z indywidualium żyjącego w chaosie myśli, uczuć i dążeń — w osobowość ukształtowaną harmonijnie z wyraźnie zarysowanymi drogami dla pracy myślowej, uczuć i woli kształtowania życia. Dlatego T. U. L. w swej deklaracji ideowej mówi o „spotęgowaniu życia duchowego i rozwoju osobowości wychowanków”.

To spotęgowanie życia duchowego i osobowości, to jest właśnie — zdaniem autora — ten „falszywy cień Grundtviga, który wciąż jeszcze nie chce ustąpić z naszego życia wiejskiego”. O ile jeszcze jest skłonny uznać aktualność takich celów wychowawczych w okresie przedwojennym „jako zamaskowany apel do bojowego pogotowia świadomości klasowej w latach przedwojennych”, to dzisiaj uważa to za „szkodliwy symbolizm, za typowy proces degeneracji myślowej, właściwej wszelkim emigracjom, tzn. wszelkiemu oderwaniu się od szans na działania praktyczne”. Zauważmy, że słowa w ustach przedstawiciela wsi i redaktora „Wsi”, o wiele za mocne w stosunku do istniejącego stanu rzeczy, i mimo powoływania się na autorytet znakomitego naszego socjologa, prof. Chałasińskiego — bardzo ryzykowne, zwłaszcza w zestawieniu z przytoczonym zaraz poniżej przykładem.

„I dziś — pisze autor — oglądamy opłakane skutki tej samowystarczalności gry duchowego spotęgowania. Uplywa półtora roku i Związek Młodzieży Wiejskiej nie uczestniczy in corpore (podkr. moje) w Związku Samopomocy Chłopskiej, woli w dalszym ciągu w próżni potęgować życie duchowe, jakby nie było rzeczą jasną, że nie od kursów higienistek, ochraniarek i kierownic

świeć należy zaczynać (podkr. moje), ale od tych resztek, idących w miliardy złotych... od rozwinięcia na nich pierwszych masowych instytucji użyteczności publicznej — przede wszystkim gospodarczych, a z nich jako stałej bazy inwestycyjnej wszelkich innych duchowych”.

Taki huragan artyleryjskiego ognia wymierzył autor we wrogie pozycje „spotęgowania życia duchowego i rozwoju osobowości”, by dowiedzieć, że praca w Związku Samopomocy Chłopskiej jest pilniejszą sprawą, niż zdrowie fizyczne i duchowe wsi, któremu wszak służą i higienistki i ochraniarki i świetlice, a nawet — tak się przynajmniej zdaje — i Związek Samopomocy Chłopskiej.

Na tym przecie nie koniec. Niepokoi cię mimo wszystko „rozwój osobowości”, z którym jeszcze się autor nie rozprawił mimo huraganowego ognia użytych argumentów. Wraca więc do „tradycji Grundtviga, która — jak lojalnie przyznaje — została u nas dopełniona i przystosowana do polskich tradycji wychowawczych”. Ba cóż, kiedy „te polskie są pochodzenia... inteligentko-szlacheckiego”. Czyż to mogą być tradycje, do których nawiązywać należy, zdaje się dawać do zrozumienia autor. I czy w takim razie naród w ogóle powinien nawiązywać do swych tradycji, skoro te tradycje, kulturę i dzieje tworzyła szlachta — budzi się mimo woli refleksja czytelnika.

Kto temu nie wierzy — zdaje się mówić autor — niech przeczyta uwagi prof. Chałasińskiego o środowisku społecznym inteligencji polskiej, które autor stara się nawet streścić, by podbudować swe twierdzenie, że „idea osobowości, którą odnajdujemy w programie wychowawczym uniwersytetów ludowych, wywodzi się z tego właśnie tragicznego uwikłania ruchu ludowego w chłopskie sympatie inteligencji, która swego egzaminu wobec narodu w rezultacie nie zdała”. Tylko, że w swych wywodach o genealogii społecznej inteligencji prof. Chałasiński charakteryzuje inteligencję jako klasę społeczną, jako zjawisko socjologiczne, występujące na tle takiego, a nie innego przebiegu procesów społeczno-ekonomicznych w Polsce i nie wartościuje wkładu inteli-

gencji w dorobek kulturalny Polski. Dyskusja zaś, jaka się współcześnie toczy na powyższy temat w „Kuźnicy” (Zawodziński, Litwin) skutecznie podważa niejedno z twierdzeń znakomitego socjologa. Gdybyśmy zaś przeglądając chcieli szeregi polskiej inteligencji z punktu widzenia jej klasowego pochodzenia lub ze stanowiska pionierskiej jej roli w postępowych ruchach społecznych i politycznych (różne odmiany ruchu socjalistycznego, ruch ludowy), a nie upraszczali sobie sprawy schematem myślowym, że inteligencja — to tylko „wysadzona z siodła szlachta — emigranci na bruku miejskim”, to przekonalibyśmy się, że zagadnienie inteligencji polskiej i jej roli w życiu narodu jest kwestią o wiele bardziej złożoną, niż zawrzeć się to da w formułce socjologicznej, którą się posługuje autor.

Gdybyż to jeszcze tak istotnie było, że ideologia uniwersytetów ludowych w Polsce została stworzona przez inteligencję dla wsi. Alieci było właśnie odwrotnie. To, co stanowi dziś treść ideowo-wychowawczą uniwersytetów ludowych u nas, nawet w swoich przerostach czy jednostronności, jest rezultatem chłopskiej pracy myślowej, mam prawo sądzić nawet, że i chłopskiej potrzeby. Tu nie ma — jak chce autor — spłotu dwu wątków: wczesno-groundtvigowskiego i inteligentko-ziemiańskiego („potęgować życie duchowe i rozwijać osobowość”), lecz jest głębokie przekonanie, że „najwspanialsze programy, największy rozmach reform pójdą na marne, jeśli wykonawcy nie okażą się ideowcami i wybitnymi indywidualnościami. Największy ideaowy nie zrobią nic, jeśli nie będą umieli myśleć realnie i działać praktycznie. Najbłędszy praktyk zawiedzie, jeśli nie będzie się kierował głęboko i jasno przemyślanym programem. Działać, pomagać, interweniować, uczyć i wychowywać trzeba już teraz, nie czekając z człowieczeństwem, moralnością i oświatą, aż się dokona zmiany struktury społecznej i aż wyrosnie nowe pokolenie” (Wacław Kubacki. W trosce o człowieka, Odrodzenie nr 14, r. 1946).

I to jest przyczyna, dla której tak wielkie znaczenie przywiązuje uniwersytet ludowy do wychowania człowieka i jego możli-

wości rozwojowych, to jest powód, który skłania nas do pracy nad budzeniem duchowym młodego człowieka ze wsi, by myślał, czuł i działał nie wyłącznie w granicach opłotków swego egoizmu, lecz stał się właśnie — jak chce autor „osobowością społeczną”, zorientowaną w życiu i w sposobach działania w nim.

Tacy wychowankowie w dużym procencie z uniwersytetów lud. wychodzili przed wojną i takich mamy zamiar wychowywać nadal. Jesteśmy bowiem zdania, że osobowość nie wyraża się w rezultatach działania i jego sukcesach, lecz objawia się w uświadomieniu sobie potrzeby działania, w jego intencjach i przyświecających mu ideach przedwornych.

Na szczęście nie jest tak źle, by opinia ludzi związanych z uniwersytetami lud. w Polsce nie rozumiała tego, „że osobowość kształtowana w oderwaniu od procesów gospodarczych i od udziału w realnym przekształcaniu cywilizacyjnych warunków życia wsi” stała by się niewątpliwie jednym ze źródeł symbolizmu. Rozumie ona dobrze, że „osobowość społeczna powstaje z udziału w realnych procesach społecznych”. Dlatego te realne procesy społeczne i gospodarcze mają głównym ośrodkiem pracy w uniwersytetach lud., przede wszystkim w ramach samokształcenia zespołowego, dyskusji, zetknięć z terenem itp.

Stanowisko autora dyskwalifikujące wartość społeczną i rolę awangardową uniwersytetu lud. w Polsce współczesnej ma, być może, swe częściowe uzasadnienie w odniesieniu do pewnej ilości placówek, do pracy swej nie przygotowanych, myli się jednak autor w adresie, gdy podważać, a nawet obalić ustaje zasady ideowo-programowe samego ruchu.

Ruch uniwersytetów ludowych rozumie niewątpliwie dobrze doniosłość „zadań rzeczowych, które są do wykonania” i do nich wychowanków swych przygotowuje, nie może jednak uznać, by to były zadania jedyne. W tym punkcie właśnie zachodzi zasadnicza różnica stanowisk.

Eustachy Nowicki

ZOFIA SOLARZOWA

W sprawie Uniwersytetów Ludowych

Uniwersytet Ludowy nie jest szkołą. Nie jest też kursem dla pracowników społecznych. Nie ma odpowiednika w żadnej innej formie działania zbiorowego, wychowawczego.

Stąd niepokój, stąd z góry założona nieufność i chęć umieszczenia tej nieokreślonej placówki życia w znane i takim czy innym autorytetem pieczętowane formy pracy oświatowej.

Czymże jest Uniwersytet Ludowy?

Zgodzimy się sądzić na to, że wpływ na kierunek życia i na światopogląd nasz może wyrzucić zarówno środowisk wychowawczy, jak doznania często niespodziewane — a wstrząsające.

Może to być spotkanie z ciekawym, mocnym człowiekiem. Może wstrząsająca scena w jakimś dramacie ludzkim. Może ciężka choroba, czy osobnienie w więzieniu — kiedy przemyślało się wiele. Może — miłość do niezwykłej dziewczyny? Może książka mocna? Może — czyjaś śmierć? Może widok ze szczytu pierwszy raz zdobytego?

Jedna droga wpływu — środowisko — jest bardzo długa. Tak długa, że powoduje często zanik związku pomiędzy jej początkiem i końcem.

Druga droga — silnego przeżycia — jest przypadkowa.

Tak właśnie myślał działacz i poeta duński, kiedy biedził się nad koniecznością doradczego, a jednocześnie trwałego zbudowania nowej duńskiej społeczności.

Liczył na długie działanie szkoły — nie pozwałała nagłość potrzeby. Czekanie na przypadek — byłoby nonsensem.

Więc zawierzmy sile osobistego wpływu. Podjął się zorganizowania silnych wrażeń, bodźców nadających nieustanny kierunek ruchowi wewnętrznemu, syntetycznej myśli i uczuć działających na myśl i wolę.

Cel — osiągnąć. Niezależnie od tego — jak wygląda sprawa Uniw. Ludowego w Danii w ostatnich latach przedwojennych, — młodzież, która obcowiała z nim i z realizatorem jego myśli, — dokonała przeobrażenia stosunków w Danii w nieprawdopodobnie krótkim czasie. Przeobrażenia te — szły drogą konkretnych, gospodarczych dokonań, budowały warunki materialne dla duńskiej i ludzkiej kultury.

Wpływ wychowawczy podobny był do wpływu, jaki na każdego z nas może wyrzucić przyjaciel — w bezpośrednim obcowaniu.

Dlatego zespół młodzieży i wychowawcy tworzyli rodzinę. Dlatego nastrój w zespole był nastrojem swobodnej, towarzyskiej gro-

madki — i dla widza stanowił zawsze zagadkę. Bo nastrój dał się odczuć — treści, którymi zespół żył i które ów nastrój stwarzały, dały się poznać jedynie przez pełne współobcowanie.

To jest właśnie najistotniejsza, fundamentalna zasada, przejęta przez nas z Danii.

Wszystko inne wypracował Uniw. Ludowy w Polsce — sam.

Strzegł tylko owego węgielnego kamienia — niezależności swojej od wszelkich form kształcenia młodzieży jednokierunkowego, szablonoowego i szkolarskiego.

W dzisiejszej rzeczywistości polskiej, sprawa Uniw. Ludowych wygląda dość zabawnie. Wszyscy — niezależnie od kierunku politycznego chcą Uniw. Ludowych.

Jednocześnie — prawie wszyscy aktywni działacze społecznej chęcią, aby zmienić się założenia, cele i metody tej instytucji.

Intencja ataku na Uniw. Ludowe może być oczywiście różna.

Można wojować o zasadnicze zmiany z wiarą, że silny wpływ UL szybko oddziała na życie w pożądanym przez wojujących, kierunku — można również atakować istotę działania ze świadomością jego szkodliwości.

W pierwszym wypadku zachodzi nieporozumienie: Wsuwane żądania w kierunku zmian zniszczą prostą tajemnicę działania.

W drugim — występuje sprawa nieuczynności. Rzeczelniej byłoby powiedzieć: Nie ma dziś miejsca w Polsce na Uniwersytety Ludowe.

Natura ludzka (niestety, natura) już jest taka, że co nieznanne dla niej, to mistyczne lub groźne.

Sposób na poznanie Uniw. Ludowego jest jeden: wejść w jego życie na okres wielu dni.

Trudność poznania nie powinna niechęcać — a zaciekawiać. Łatwość sądu świadczy jedynie o braku zdolności doświadczania lub o tendencji.

Jedno stwierdza się powszechnie: Uniw. Ludowy w Polsce przed 1939 rokiem wywarł silny wpływ na życie społeczne.

Wpływ ten — w tamtych latach ludzie decydujący dziś o stosunkach w kraju, uważali za dodatni. Podkreślali twardość postawy ideowej wychowanków — ich konkretne działania w życiu gospodarczym (spółdzielczym) bojowość i radykalizm. Nadto — stwierdzali u ludzi z Uniw. Ludowych wysoki poziom moralny i rozległe zainteresowania umysłowe oraz głębokie poczucie wolności i odpowiedzialności społecznej.

Dziś wszystkie te zalety stały się wadami. Dlaczego?

W imię czego prowadzi się wojnę z założeniami Uniw. Ludowych?

Skąd te żądania programów i lęk przed swobodą wpływu?

Czyżby ludzie Uniw. Ludowego przeciwstawiali się istotnie demokratycznym, radykalnym zmianom społecznym? Czyżby nie uczestniczyli czynnie w robotach budujących dobrobyt i wysoki poziom myślenia?

Nie. Większość wychowanków — to bojownicy nowej społecznej rzeczywistości.

Bój — prowadzi się o posłuch. O podporządkowanie wszystkiego — jednej koncepcji.

Gdyby ludzie atakujący doceniali bogactwo i złożoność, pełność i urodę życia narodu — gdyby jednocześnie w ruchu Uniw. Ludowych dostrzegli siłę kojarzenia i uspołeczniania indywidualnych wartości — byłby zapewne spokojni i pewni realizacji własnych myśli społecznych, na tej właśnie drodze.

Chęć zszablonowania, lęk przed swobodą, zamykanie oczu na oczywiste wartości — płynie z nerwowego traktowania sprawy rozwoju i postępu w stosunkach ludzkich.

Zresztą, ataki na Uniw. Ludowe idą też od strony polityki — i to jest zrozumiałe. W tym wypadku dyskułować się nie da.

Bo w tym nastawieniu — widzi się to, co chce się widzieć. Filozofię dorabia się do tendencji.

A szkoda.

Spokojni i życzliwi, choć normalnie krytyczny stosunek polityków do sprawy Uniw. Ludowych świadczyłby o poziomie uspołecznienia i pozwoliłby na rzeczową wymianę myśli w atmosferze rozsądku.

Uniw. Ludowy nigdy nie prowadzi gry politycznej i nigdy nie neguje żadnej ideologii, szczerzej i szczerze społecznej. Wychowuje w szacunku dla każdej realizacji uspołecznienia życia.

Uniwersytet Ludowy buduje następujące wartości w ludziach:

Rozpala emocje życia i wiąże uczuciowo z środowiskiem.

Roznieca pożądanie wiedzy i wskazuje jej źródła.

Usamodzielnia w myśleniu.

Budzi i utrwała odpowiedzialność społeczną.

Wyodrębnia osobowość i wiąże ją w społeczność.

Uczy wnikiwania w siebie — i czynnia zdolności.

Budzi życzliwość dla życia i ludzi.

Uczy wiązać zjawiska i nurty — w jedność.

Wiąże młodzieńczy idealizm z realnością działania.

Utrwała i nadaje sens bojowości i radykalizmowi.

STEFAN LICHANSKI

Kultura ludowa a regionalizm

O WŁAŚCIWĄ IDEOLOGIE KULTURALNĄ WSI

Bardzo dobrze stało się, że w dyskusji naszej zabrał głos p. Kirlo-Nowaczyk „uziemiając” zagadnienie, sprowadzając nasze spory na temat miasta wsi i regionalizmu z wyżyn rozprawy „zasadniczej” na teren zagadnień bezpośrednio praktycznych. Czas już bowiem przystąpić do wyciągania wniosków z dotychczasowych wypowiedzi dyskusyjnych.

Analiza antyurbanistycznych artykułów Józwiaka i Stodolnego pozwoliła nam zorientować się w podstawowym nieporozumieniu, które uniemożliwiło obu wymienionym autorom ustawić należycie problem wsi — miasta. Pewne jest jedno: jeżeli nie odrzucamy w całości cywilizacji technicznej i dorobku kulturalnego Europy, nie możemy przyjąć ideału „rodzimej” kultury ludowej jako obowiązującego dla całego narodu. Niezależnie od tego jak będzie się kształtował dalszy los miast i jakie zajdą przeobrażenia polityczno-społeczne w Europie, cywilizacja techniczna będzie przenikała na wieś, co nie może pozostać bez wpływu na życie duchowe mas chłopskich. Zachowanie dawnego stylu życiowego i dawnej kultury wsi byłoby możliwe tylko przy zupełnym odgródnieniu się od wszelkich wpływów cywilizacji technicznej, co jest niewykonalne praktycznie. Wszelkie zakusy w tym kierunku należy uznać za utopijne i zarazem w konsekwencjach swoich antykulturalne, bo mające na celu uniemożliwienie powstania jednolitej kultury narodowej zdolnej do życia i rozwoju we współczesnym świecie, oraz antychłopskie, bo próbujące przeciwstawić się emancypacji kulturalnej a więc w rezultacie także społecznej i kulturalnej mas chłopskich.

Program mniej skrajny ale zato daleko niebezpieczniejszy praktycznie, bo z pozoru zupełnie sensowny i brzmiały bardzo kusząco, reprezentują ci publicyści, którzy stoją na stanowisku, że trzeba pogodzić technizację wsi z zachowaniem dawnych form kultury ludowej i dawnego stylu życiowego. Założenia tych ideologów unowocześnionej ludowości są w intencjach swoich niewątpliwie bardzo szlachetne i — na swój sposób — postępowe. Oznaczają one bowiem przezwyciężenie wiary w szlachtę jako główną grupę społeczną kulturotwórczą w obrębie naszego społeczeństwa i przyznanie tej roli „ludowi” jako grupie posiadającej już własną bogatą tradycję kulturalną i żyjącej życiem środowiskowym najmniej podległym wpływom obcym. Oddając całą sprawiedliwość wyznawcom tego poglądu, trudno nie dostrzec w nim pewnych cech ludomanii, za schyłkiem XIX stulecia, kiedy to Kasprowiec głosił, że „zabawienie leży pod siermięgą”, i pewnych tendencji wyraźnie konserwatywnych społecznie.

(Dokończenie ze str. 6-ej)

była wleś, były proste prawa, obyczaj. A miasto, które początkowo składało się z elementu napływowego, rządzącego się obcym prawem, długo nie poddawało się nurtowi życia narodowego i kulturalnego, zaczynając się uaktywniać dopiero w XVI wieku.

Z tych ogólnych uwag można wyluskać te momenty, które oświetlają wpływ na zróżniczkowanie życia, ludzi, mowy, obyczajów itd., tworząc charakterystyczną jednostkę, której nadano nazwę r e g i o n (z jęz. łacińskiego regionis — okolica).

Sprawa regionalizmu jako taka ściśle łączy się z obudzeniem, ożywieniem ruchu danej okolicy, podniesieniem na forum publicum jego wartości, ściąganiem na swój teren ludzi twórczych, jednostek wybitnych, by nie tylko wielkie miasta były ośrodkami promieniącymi, zachłannie skupiającymi szeregi instytucji, twórców i przemysł. Powinni ci, którzy z regionu wychodzą by zdobyć wykształcenie i wiedzę, po dojeździe do celu wracać do swojej ojcowizny, by nie jałowiała, by ją podnosić duchowo, bo oni znają region, jego myśl i jego ducha są w stanie zrozumieć. Tu już nie chodzi tylko o zachowanie tradycji, o stroje ludowe, o gwara, o obyczaje i zwyczaje, które z wpływami miasta na wleś zanikają (chłop podświadomie idzie za wzorcami z miasta, wyczuwając intuicyjnie wyższość miejskiej kultury), co jest zjawiskiem niepożądanym, tu chodzi o wychowanie chłopca, o wychowanie społeczeństwa chłopskiego, podniesienie jego estetyki duchowej, o rozwój środowiska taki, by z niego wychodzili twórcy, by w nim się wychowywali.

Region wychowuje jednostki, które z nim mają bezpośrednią łączność, z jego charakteru wpływa oryginalność twórcza, która w dorobku wieków piętnuje się trwałym znakiem wielkości.

Jan Maria Gisges

Sądzę, że większość ludowców pragnie, by wkład mas chłopskich w twórczość kulturalną narodu był jak największy i jak najbardziej ważki treściowo. Tym nie mniej zdajemy sobie sprawę z tego, że możliwość wzmocnienia twórczego rozmachu mas chłopskich zależy jest w pierwszym rzędzie od przezwyciężenia na wsi tendencji separatystycznych i wyjścia poza zamknięty krąg statycznej dotychczas kultury ludowej. Twórczość zwrócona w kierunku budowania jednolitej kultury narodowej a nie konserwacji i doskonalenia dotychczasowych osiągnięć. Jeżeli na miejsce warstwy szlacheckiej zapraszamy warstwę chłopską, to pozostajemy nadal w kręgu klasowo zróżniczkowanego społeczeństwa i albo musimy przyznać chłopom prawo do hegemonii nad innymi warstwami albo — co w praktyce niemal na jedno wychodzi — zażądać od tych warstw przyjęcia chłopskiej tradycji kulturalnej i chłopskiego stylu życia, co w wielu wypadkach byłoby żądaniem „równania w dół”.

Żywa i płodna ideologia kulturalna wsi nie może oprzeć się ani o postulat separacji mas ludowych od reszty społeczeństwa, ani też o postulat hegemonii warstwy chłopskiej. Jedyną drogą zgodną z interesem narodu i interesem kultury polskiej jest droga współtwórczości kulturalnej mas chłopskich z innymi warstwami dla wytworzenia kultury jednolitej i będącej wspólnym dobrem całego narodu.

KONFLIKT: WIEŚ — MIASTO

Już w poprzednim swoim artykule dyskusyjnym („Wieś” Nr 18-19) zwracałem uwagę na podświadome antyurbanistyczne kampanie M. Józwiaka. Konflikt wieś — miasto jest konfliktem pozornym. Nie chcę przez to bynajmniej powiedzieć, że za niemożliwe uważam wszelkie nieporozumienia między mieszkańcami wsi i miast. Skłonny natomiast jestem do wyznawania poglądu, że wszystkie tego rodzaju konflikty mają charakter okazjonalny i sprowadzają się do konkretnych, pojedynczych nieporozumień na tle społecznym, politycznym, gospodarczym, kulturalnym, i nie mogą być traktowane jako poszczególne epizody wielkiej jednolitej batalii. (Że w wyniku takich doznań starć utrwała się w świadomości obu grup pewne stale trwające napięcie wzajemnej nieufności i niechęci, nie zmienia to sprawy w sposób zasadniczy).

Pozornie wygląda to rozróżnienie na przysłowiowe rozszczepianie włosa na czworo, w gruncie rzeczy jednak jest ono bardzo ważne i zasadnicze. Chwila głębszego zastanowienia się nad obchodzącym nas zagadnieniem wystarczy, by dojść do wniosku, że antagonizm wsi i miasta nie ma charakteru walki koniecznej (jak np. walka ludzi z drapieżnymi zwierzętami, jadowitymi wężami czy szkodliwymi dla zdrowia drobnoustrojami), ale przypomina raczej konflikt białych z czarnymi w Stanach Zjednoczonych, konflikt będący w pierwszym rzędzie wynikiem wadliwego myślenia i niepoohamowania instynktów zawiści i okrucieństwa. Konflikt wsi i miasta nie przybrał nigdy takiego charakteru i napięcia jak walka ponurych fanatyków z Ku-Klux-Klanu z murzynami, ale psychologiczne jego podłoże jest dość podobne.

Jeżeli tedy, zamiast szukać praktycznie skutecznego rozwiązania każdego poszczególnego zadrażnienia i nieporozumienia pomiędzy wsią i miastem, zaczniemy się w tego rodzaju konfliktach dopatrywać przejawów jakiejś przez Pana Boga czy też przez przeznaczenie stworzonej wzajemnej wrogości tych dwu środowisk, doprowadzić możemy jeżeli nie do wojny domowej, to w każdym bądź razie do spotęgowania się tych wszystkich tendencji i sił destrukcyjnych, które czynią ją możliwą w każdym momencie, a jednocześnie utrudniają niepomnie wszelką konstruktywną i sensowną pracę.

Podkreślałem to już poprzednio i raz jeszcze wracam do stwierdzenia, że chłopcy antyurbanisci nie biorą w dostateczny mierze pod uwagę faktu, że miasta rozwinęły się w pewnej określonej fazie dziejów w związku z określonymi przeobrażeniami cywilizacyjnymi i gospodarczo — społecznymi. Józwiak np. pisar o odmiennych skłonnościach filozoficznych chłopca i mieszczaństwa a nie wspominał ani słówkiem o wpływie ustroju politycznego — społecznego na warunki życia w mieście. Tymczasem pewne jest jedno: dawne miasto — olbrzym, miasto milionerów i nędzarzy, fabryk, dymu, zaduchu, nędznych mieszkań i ciężkiej, niszczącej pracy jest produktem określonego ustroju społecznego i określonej fazy rozwoju nauki. Postęp społeczny i postęp nauki mogą — jeżeli nie usunąć zupełnie, to w każdym bądź razie wydatnie zmniejszyć ze skutku pracy robotnika przemysłowego czy urzędnika wielkomięskich biur oraz poprawić warunki życia w mieście. Jeżeli p. Józwiak miał w swojej złośliwej charakterystyce mieszczaństwa dużo racji, to nie uwzględnił jednak należycie faktu, że chodzi w danym wypadku o pewne cechy, które mogą zaniknąć wraz ze zmianą warunków egzystencji.

Rozsądek nakazuje widzieć w niemożności ustabilizowania stałego zgodnego współżycia miasta i wsi nie jakąś odwieczną walkę aniota z szatanem, Ormuzda z Arymanem, ale pewną niedogodność życia społecznego, którą należy wspólnym wysiłkiem usunąć. Podkreślanie różnic dzielących oba środowiska

nic tu nie pomaga, a nawet szkodzi. Próba zaś likwidacji jednego z nich przez drugie mogłaby doprowadzić do katastrofy narodowej o nieobliczalnych następstwach. Należałoby więc raczej wspólny wysiłek skierować ku stworzeniu takich warunków bytu narodowego, które by możliwość owych wiejsko-miejskich starć i sporów jeżeli nie zupełnie wykluczyły, to w każdym bądź razie zmniejszyły do minimum.

POLSKA A I POLSKA B

Pora, by przypomnieć, że dyskusja nasza zaczęła się od rozważań na temat przydatności i znaczenia regionalizmu we współczesnym życiu Polski. Od sprawy tej odbiegliśmy pozornie bardzo daleko, ale teraz możemy powrócić do niej lepiej orientując się w całokształcie zagadnienia.

Stwierdziliśmy, że rozszczepienie nurtu kultury narodowej na kulturę warstw górnych i kulturę ludu jest pozostałością epoki, która minęła bezpowrotnie. Utrzymywanie więc nadal owego podziału straciło swoje historyczne uzasadnienie. Dziś trzeba dążyć do tego, by nie było wielu środowisk o różnych kulturach, ale by utrwalili jednolitą ogólnonarodową kulturę polską. Uważamy, że wieś może dać wkład w budowę tej kultury bardzo poważny i istotny i dlatego pragniemy spotęgować do maksimum jej twórczość kulturalną.

W tym oto punkcie napotykamy znowu sprawę regionalizmu.

Teraz jednak ukazuje się nam ona jako zagadnienie mocno wmontowane w ogólną problematykę kulturalną współczesnej Polski, jako zadanie praktyczne a nie teoretyczne.

Mamy w niniejszym numerze dwie wypowiedzi dyskusyjne: J. M. Gisgesa i A. F. Kirlo-Nowaczyka. Pierwsza z nich porusza głównie historyczne zasługi wsi w tworzeniu fundamentów polskiej kultury a sprawę regionalizmu traktuje jako zagadnienie w pierwszym rzędzie prestiżowe, jako możliwość pokazania miastu, że „albośmy to jacy tacy!”. Jest to jakby na teren historii i teorii kultury przeniesiona opowieść o Ezawie i Jakubie z dobrymi radami dla Ezawa jak ma teraz zabrać się do Jakuba, żeby odzyskać swoje przywileje pierworodnego. Cały czas obracamy się tu w kręgu przyczynkarstwa historycznego lub problemów pozornych.

Inaczej ma się sprawa z Nowaczykiem. Ten od opisu indywidualnych utrapień przechodzi do mocno postawionego problemu kulturalnej Polski A i Polski B. Polska A — to miasto. Miasto posiada aktywne kulturalnie i artystycznie środowisko, uczelnie, biblioteki, muzea, teatry, filharmonie, jest w sytuacji pod każdym względem uprzywilejowanej. Prowincja — to Polska B, utrzymująca kontakt z centrami kulturalnymi jedynie pośredni. Kontakty bezpośrednie są dorywcze i nie wystarczające. Stąd mniejsza prężność kulturalna prowincji, stąd tendencja do zaścianowości i konserwatyzmu, stąd anemiczność życia kulturalno-artystycznego na tym terenie.

Okazuje się, że bezpośredni kontakt z kulturą ludową nie wystarcza. Okazuje się coś więcej: że trudno w ogóle mówić o zorganizowanym, stałym rytmem pulsującym życiu tej kultury. Nie jest ono w każdym bądź razie na tyle intensywne i atrakcyjne, by mogło wciągnąć w swój krąg jednostki o większych ambicjach i by zdolne było ambicje te zaspokoić. W tych warunkach emigracja ze środowisk prowincjonalnych jednostek zdolniejszych i bardziej przedsiębiorczych musi być zjawiskiem stałym, podobnie jak wycoufywanie się w te właśnie środowiska jednostek nieudolnych, skrachowanych życiowo, obarczonych kompleksem niepełnowartościowości. Jeżeli jednym słowem stan obecny pozostanie bez zmian, ucieczka elementu wartościowego z prowincji do większych miast będzie trwała stale, a różnice poziomów między Polską A i Polską B będą się nieustannie powiększać na niekorzyść tej ostatniej.

SZANSE REGIONALIZMU

Jakie jest wyjście z tej niekorzystnej dla całego narodu sytuacji? Jedno tylko: wzmocnić tempo życia kulturalnego wsi, uczynić je ważnym i atrakcyjnym dla Polski A, Polski wielkich miast, by spowodować konieczność stałych kontaktów, stałej wymiany wartości i w ten sposób zmniejszyć do minimum różnice między życiem kulturalnym miast i wsi.

Regionalizm nie jest sam przez się żadną ideą kulturalną, jest on natomiast cennym i ważnym środkiem do spotęgowania życia kulturalnego prowincji. Zacząć należałoby tu od rozszerzenia w każdym z regionów wiedzy o jego dotychczasowy dorobek kulturalnym i o znaczeniu tego dorobku z punktu widzenia kultury narodowej. Trzeba bowiem dobrze uświadomić sobie, co znaczy, jaką ma wartość spuścizna kulturalna poprzednich pokoleń, by móc ją wykorzystać jako bazę czy choćby punkt wyjścia dla dalszej działalności kulturotwórczej.

Ale życie kulturalne regionu nie może się ograniczyć do zamkniętego kręgu własnych spraw. Kwestią najważniejszą musi być wzajemna wymiana wartości kulturalnych między poszczególnymi regionami oraz między środowiskiem wiejskim a pozawiejskim. Przystawianie wartości kulturalnych spoza terenu wiejskiego musi być traktowane na

równi z propagandą własnych osiągnięć w terenie innych środowisk. Zamiast postulatu parcelacji miast, wysuniętego przez p. Józwiaka, trzeba postawić postulat organizacji żywotnych ośrodków kulturalnych na prowincji, zdolnych zarazem do asymilowania wpływów kultury miejskiej jak i do zasilańia tej kultury własnym wkładem. Tkwiące w psychice ludzi obu środowisk tendencje antagonistyczne, tendencje walki przemienić trzeba na ambicję wyścigu w pracy kulturotwórczej, a nie posycać ich i nie budzić żądnych tęsknot separatystycznych lub likwidatorskich tak po jednej jak i po drugiej stronie.

Sprawą, od której należałoby zacząć, jest kwestia zaktualizowania wątków tradycyjnych dawnej kultury ludowej. Jak chrześcijaństwo zasymilowało niegdyś wiele obzędów i zwyczajów pogańskich, tak dzisiaj nowa wieś powinna starać się o wykorzystanie ich dla siebie, o napełnienie ich treścią współczesną. Likwidacja dworów, przejęcie ziemi pofolwarczej, epopea wojenna Batalionów Chłopskich, organizowanie wiejskich szkół i spółdzielni, wprowadzenie na wieś traktorów — wszystko to są elementy treściowe, które można by wykorzystać w formach obrzędowych, widowiskowych, przygotowując w ten sposób unowocześnienie chłopskiego sposobu myślenia i odczuwania.

Sprawą o dość poważnym również znaczeniu jest rozszerzenie kręgu oddziaływania przez kulturalny podbój małych prowincjonalnych ośrodków miejskich, które żyją wyłącznie ochłapami kultury wielkomiejskiej i nie żywią żadnych tęsknot do osiągnięcia samodzielności kulturalnej. Jeżeli w jakiejś Płocławce budzą się ambicje kulturalne, to naogół ograniczają się one do naśladownictwa Warszawy, Krakowa, Poznania. A przecież każde niemal z prowincjonalnych miasteczek mogłoby stać się ośrodkiem skupiającym życie kulturalne dookólnego regionu i ułatwiającym temu regionowi kontakt z szerszym światem.

Praca regionów nie może jednak być pozostawiona wyłącznie im samym. Chodzi bowiem o zorganizowanie stałego kontaktu z wielkimi ośrodkami miejskimi, o organizację teatrów, kin, wystaw objazdowych, o zapewnienie przynajmniej najżywotniejszym i najważniejszym ośrodkom prowincjonalnym imprez kulturalnych i artystycznych na możliwie najwyższym poziomie. Trzeba również, by poszczególne regiony miały możliwość konfrontowania wzajemnego swoich osiągnięć na jakichś większych imprezach o charakterze ogólnokrajowym.

Trudno w artykule zmieścić choćby najbardziej szkicowy zarys programu działalności tak pomyślnych ośrodków regionalnych kultury ludowej. Ale chodzi w tym wypadku raczej o samo postawienie zagadnienia niż o rozwiązywanie problemów ściśle technicznych.

Pewne dla mnie jest jedno: regionalizm nie jest zagadnieniem samoistnym. Wiąże się on z kwestią ideologii kulturalnej, jaką przyjmują masy chłopskie, i w zależności od niej stać się może czynnikiem bądź twórczym bądź destrukcyjnym w całokształcie życia kulturalnego narodu.

STANISŁAW PIGOŃ O POEZJI CHŁOPSKIEJ

W wielkanocnym numerze (16-ym) „Tygodnika Warszawskiego” profesor Stanisław Pigoń ogłosił artykuł pt. „Pierwsiak osobiste, religijne i społeczne w poezji chłopskiej”. Jest to pewien przekrój pod kątem rzeczowym dorobku pisarzy chłopskich. W pracy tej opierając się na materiale pisarskim starszego pokolenia twórców chłopskich jak Franciszka Magryśia, Jakóba Bojki, Ferdynanda Kurasia, Sawczuka, Jantka z Bugaja, Szarka, Myjaka, Raka i innych dochodzi do pewnych uogólnień, które po dają jako charakterystyczne dla wszystkich poetów. W przekroju tym autor ukazuje, że najgłówniejszą nutą tych utworów jest nuta publicystyczna i osobista. Wiele uderzającym zjawiskiem w tej poezji jest brak „tonów rozdarcia i żalów melancholij” zjawisko smutku jest zewnętrzne, wtki erotyczne bardzo niktę, skrepowane przez wiejską powściągliwość. Inną cechą duchowych przeżyć tych poetów jest poczucie godności stanu chłopskiego: jego zamierzeń pracy i pldnów. Tak samo głównym tonem odzywa się w tej poezji uczucie patriotyzmu: wielkie rocznice zwycięstw i klęsk narodowych, święta i cienie wywołują reakcję uczuciową twórców, co dowodzi bliskiego organicznego związku ich ze sprawami narodu już w pierwszym pokoleniu, które „osiągnęło poziom kulturalnej świadomości”. Wątek religijny w poezji chłopskiej — według autora — wyraźnie się dzieli. Część pisarzy walczy z brakami form panującego kościoła, jego niedoskonałością życiową, — część zaś atakuje sam „nadprzyrodzony ład istnienia”, wyraża się „zgrzytem zwątpienia w moralny porządek świata”. Inni natomiast w słowach artystycznych starają się oddać wszelkie doroczne uroczystości kościelne, koledwy albo pieśni wielkanocne. Na tym tle nie brak w poezji chłopskiej tego zjawiska, co autor nazywa „zeswojszczeniem”, tj. przeniesienie wątków biblijnych w ramy domu, wsi czy gminy. Celem artykułu było ukazanie bogactwa tematycznego dawniejszej poezji chłopskiej.

ANTONI PIPEK

Z ostatnich dni okupacji

(Na Helu)

Wiosna 1945 roku utkwiała mi na całe życie w pamięci. Front wschodni posuwał się szybko naprzód. Półwysep helski, dotąd spokojony i cichy, ożył nagle ruchliwością terenu podfrontowego. Już przy końcu lutego odgłos niebardzo odległego frontu jak pomruk nadchodzącej burzy wojennej dochodził do uszu mieszkańców Helu, a kilka dni potem wstrząsnął chatami rybackimi grzmot ciężkiej artylerii po drugiej stronie zatoki Gdańskiej w okolicy Gdyni i Oksywia. Jasnym było, że ta upragniona przez wielu a niepożądana dla innych chwila przełomowa, która miała wreszcie położyć kres martyrologii polskiej — nadeszła.

Zaprzysiężeniłem się w tym przełomowym momencie z jednym kaszubem, który posiadał na sobie radioaparat odbiorczy i potajemnie słuchaliśmy wieczorami komunikatów wojennych z frontu. Dowiedziawszy się o zajęciu przez oddziały Armii Czerwonej Lęborka, miasta położonego blisko Wejherowa, uznałem, dalsze przebywanie na półwyspie helckim za niebezpieczne w razie zamknięcia go zewsząd i zablokowania dróg lądowych i morskich, chciałem tedy zwać na łód do znajomego gospodarza we wsi Brudzewo za Puckiem, by się tam ukryć u niego w ten najcięższy czas, aż do chwili wyzwolenia.

Była sobota 24 lutego. Pociągi jeszcze jeździły do Pucka. Postanowiłem więc jechać bezwzględnie o świcie następnego dnia. I gdyby mi było się udało, nie byłbym wywieziony i ogołocony ze wszystkiego. Już o godzinie piątej czekałem na dworcu w Jastarni na pociąg, który miał jechać w kierunku Pucka o 5.30 rano. Lecz nie widziałem ani żywej duszy w posiadłości dworcowej, co mi się nieco nie podobało. Trzy godziny czekałem, a pociągu nie ma. Chciałem się spytać urzędnika kolejowego, by zasięgnąć od niego informacji jakiegokolwiek, czy pojedzie jakiś pociąg czy nie, ale żadnego nie było. Dopiero około godziny 9-ej przyszedł zaspany urzędnik i powiedział mi, że nie ma żadnej wiadomości o tym, czy w ogóle jakiś cywilny pociąg pojedzie do Pucka, gdyż wojska niemieckie ewakuują już Puck i są w marszu na półwysep. Radził mi siedzieć w domu i nie pokazywać się wcale, bo zabierać wszystkich będą do robót wojskowych przyfrontowych.

Istotnie przed wieczorem pokazały się pierwsze oddziały uciekających wojsk niemieckich wraz z taborami i mnóstwem koni i wozów, wszyscy pomieszani ze sobą: żołnierze i cywile wraz z resztkami zagrabionego na Polakach dobytku i inwentarza martwego. Uczynił się ścisł niebywały w Jastarni. Wojsko i uciekinierzy cywilni wraz z bryczkami swymi zatarasowali wszystkie drogi i ścieżki, nawet pola w pobliżu drogi. Istna wieża Babel języków: niemieckiego, polskiego, czeskiego, ukraińskiego, rosyjskiego itd., gdyż niewolników z obozów pracy zabierali ze sobą. Parę dni tak stały te wozy i żołnierze pod gołym niebem, bo jeszcze nic nie było zorganizowane dla wojska. Zaś po tym przymusowo kazali każdemu z miejscowych oddać wszystkie mieszkania i pomieszczenia mieszkalne dla uciekinierów cywilnych, dla siebie zatrzymując tylko jedno mieszkanie. Przeprowadzili do mnie siedmioro ludzi i kazali ich umieścić. Tłumaczyłem się, że jak ich pomieszcze, to sam nie będę miał gdzie spać. Odpowiedzieli, że muszą ich ulokować przede wszystkim, bo to są Niemcy i na dworze spać nie mogą, a my to się nie liczymy.

Widać było na twarzach niektórych żołnierzy rezygnację. Wielu miało już dosyć tej wojny i na pewno chcieliby zostawić wszystko i wracać do domu. Byli tacy nawet, którzy prywatnie w domu rybaka przeklinali już tę całą wyprawę faszystów hitlerowskiego na Europę.

Tyle nagromadziło się wojska i cywilnych uciekinierów, że problem wywiezienia przynajmniej połowy ludności niemieckiej stał się palącym. Obawiałem się tylko jednego: jak zacząć wywozić stąd Niemców, to megą uczynić to samo i z rybakami. I przewidywanie to okazało się trafne, mimo, iż zapewniali rybaków, że ponieważ się tu urodzili, to zostaną tu, ale pomagają winni są wojsku, jak umieją.

Wkońcu postarali się o statki, które skądś nadjechały do Helu i rozpoczął się proces ewakuacji wszystkich Niemców niemiejskich. Po kilku dniach po odejściu dwu transportów przyszła wiadomość, że oba statki zatopione zostały przez łodzie podwodne Marynarki Czerwonej w pobliżu brzegów Rozewia. Inni Niemcy nie mieli już ochoty do powrotu do swej ojczyzny, bo byli przekonani, że tam nie dojadą wcale. Ale rozkaz jest rozkazem, a Niemcy posłuszni byli swoim władzom i pojechali.

Teraz kolej na nas — pomyślałem sobie, bo w ich zapewnienia nie wierzyłem. I tak było istotnie. Kilka dni po ewakuacji czystokrewnych Niemców wieczorem przez gminne megafony publiczne ogłosił bürgermeister Jastarni, Frost, wzywając do wszystkich cywilnych mieszkańców rybaków, którzy zostali uznani za niezdolnych do robót wojskowych, aby jeszcze tego samego dnia przygotowali się do ewakuacji półwyspu. Ludzie płakali, bo nikt nie chciał opuszczać, gdy nadzieja wyzwolenia rychłego świeciła w sercach, tej chaty swojej, tak drogiej, sieci i łódki, do czego rybak niezmiernie jest przywiązany. Każdy był przekonany, że czeka go śmierć w odmętach Bałtyku, jak z wieloma innymi transportami ewakuowanych się już stało. Bo jeżeli już o swoich nie dbali, to kaszubów, których mimo wszystko nie uważali za prawdziwych Niemców, lecz zawsze „Verfluchte Polen“ na nich mówili, nie mieli powodu ratować, tym bardziej, że nie potrzebowali już ich pomocy do budowy swojej potęgi nacjonalistycznej i militarnej, której gmach chwiał się już na wszystkie strony i trzeszczał w posadach. To też każdy myślał o ewakuacji, jak o śmierci.

Ja byłem w tym czasie zupełnie wytrącony z równowagi — myślałem, by złać tego, który najwięcej Polakom miejscowym krzywdy wyrządził, by szkodzić Niemcom, a tu nic z tego, trzeba będzie pójść na dno morza albo do Niemiec, teraz, gdy można coś zrobić. Nie, nie, pojedę — postanowiłem — ukryję się gdzieś.

W międzyczasie dowiedziałem się, że Puck jest zajęty przez wojska Armii Czerwonej, że bez wystrzału poddał się. Ucieszyłem się niezmiernie i tylko życzyłem im, by jak najszybciej wkroczyli na półwysep i nas wyzwolili. Przecież byli już tak blisko! Lecz, niestety, nadzieje moje nie miały się spełnić jeszcze. Pierwsze oddziały wojsk radzieckich doszły do Wielkiej Wsi, skąd wyparli Niemców i zajęli ich okopy. Czekałem dzień, dwa, pięć, a tu nic, front się nie zmienia, ani nie wykazuje żywszej działalności. Ku memu zmartwieniu skonstatowałem, że front się tu zatrzymał. Widocznym było, że natarcia nie należy na tym odcinku oczekiwać wcześniej, aż po kompletnym zgnieceniu oporu niemieckiego w Gdyni.

Gdy tak pod nieustannym grzmotem artylerii lądowej i morskiej na zaproszenie znajomego wieczorem włąłem do piwnicy, by z nim posłuchać potajemnie audycji i komunikatu wojennego z frontu w języku polskim i gdy tak usłyszałem wolny polski głos z wolnej polskiej radiostacji katowickiej o tym, jak się tam Polacy organizują, jak zacierają ślady krwawe po okupancie niemieckim, skurcz mnie wziął za gardło i lzy pociekły po policzkach. Były to lzy radości i wzruszenia, a jednocześnie żalu i skargi na to, dlaczego my jeszcze pod okupantem hitlerowskim siedzimy, gdy gdzieindziej Polska pozbyła się już tej zmyry krwawej, już język polski rozbrzmiewa po ulicach, a nam tego jeszcze czynić nie wolno, kto wie, co nas jeszcze z rąk tych katów czeka może w ostatniej chwili. O, Polsko, Wolna Polsko! przyjdź do nas jak najrychlej, jutro, dziś, choćby w tej chwili — wdychałem. Lecz te gorące pragnienia i oczekiwania moje nie miały się jeszcze spełnić. Przenaczonym mi było jeszcze nieraz do tej Polski westchnąć i nieraz Jej wołać i przyzywać do siebie.

Gdy front niemiecki ustabilizował się koło Wielkiej Wsi, Niemcy nagwałt zaczęli się fortyfikować. Łądem nie szło już nic przewieźć, mogli to tylko czynić statkami lub okrętami. Hel po zajęciu innych

baz i portów stał się najruchliwszym miejscem dostaw do armii niemieckiej na wybrzeżu. Kilkadziesiąt okrętów wojennych i statków stało na redzie pod Helem, będąc celem nalotów samolotów radzieckich, lecz bomby ich nie były zbyt celne, gdyż rzucały z wielkiej wysokości. Nieustanny warkot aeroplanów w dzień i jednostajny huk dział po tamtej stronie zatoki, od czasu do czasu gwałtowniejszy nieco, trzymał w napięciu stałą spokojną ludność kaszubską, która takiej muzyki wojennej nie znała dotychczas.

W pierwsze noce wychodziłem na dwór i kilka godzin nieraz stałem ukryty za drzewem, patrząc w czerwony od ognia latających pocisków nieboskłon.

Każdy rybak zabrał się energicznie bez rozkazu do budowy dla siebie i rodziny swej schronu polowego z całych sosen ułożonego. Taki sam schron pobudowaliśmy z bratem. Byłem zadowolony z niego, co do wytrzymałości na szrapnel i odłamki. Ale tylko dwa razy w nim siedziałem. Raz gdy około 5-ej po obiedzie 20 marca nadleciały eskadry lekkich samolotów bombardujących i dłuższy czas bez przerwy krążyły nad Jastarnią, szukając widocznie upatrzonego celu do zrzucenia bomb. Gdy artyleria przeciwlotnicza niemiecka przestała już strzelać, samoloty obrzuciły całą baterię bombami. Drugi raz siedziałem w schronie, gdy radziecka artyleria wypuściła kilka serii z tamtej strony zatoki do Jastarni.

Przez zatrzymanie się natarcia wojsk radzieckich na półwysep Hel, Niemcy skorzystali na czasie, by się lepiej umocnić, bo wtedy nie byli silni i natarcie to byłoby się udało z pewnością. Wszystkich cywilnych niezależnie od przynależności państwowej od lat 16 do 65 miejscowy komendant garnizonu kazał zebrać i postawić przed komisją lekarską, która oczywiście była fikcją, bo lekarz tylko spojrział na twarz, kiwnął palcem na znak, by brać do roboty. Wszystkich młodych i starszych, którzy według opinii lekarza nadawali się jeszcze do prac wojskowych przyfrontowych wcielono do kompanii pracy.

Krótko po tym przyszedł rozkaz ewakuacji wszystkich cywilnych niezdolnych do robót wojskowych. Ponieważ prawdziwych czystokrewnych Niemców nie było już wielu, chodzilo tu więc o przeniesienie ludności kaszubskiej. Taki rozkaz został przez megafony uliczne w Jastarni wieczorem późno, 27 marca 1945 r. ogłoszony. Ponieważ tego pierwszego wezwania do opuszczenia dobrowolnego półwyspu nikt nie usłuchał i nie ruszył się z miejsca, powtórzono następnego dnia wezwania, a w kilka chwil później SS-owcy robili porządek po prywatnych mieszkaniach, budząc śpiącą ludność i każąc się zabierać do drogi.

Ja trzy dni ukrywałem się, w dzień w niewolnika rosyjskiego, który tu dłuższy czas pracował i z którym się poznałem, a w nocy na strychu, drząc z zimna, siedziałem skulony, bo o spaniu nie mogło być mowy. Czwartej nocy zszedłem po drabinie na dół, by wejść do schronu po kawał suchego chleba, nie wiedząc, że jest oblawa na tych, którzy się ukrywali, nie chcąc być wywiezionymi do Niemiec. Właśnie jadłem swój chleb, gdy zarżeli do wnętrza schronu i mimo, że przykucnąłem, jak tylko mogłem do ściany, zauważyli mnie i kazali pod groźbą zabicia iść ze sobą. Ujęli mnie silnie pod ramię i poprowadzili mnie do Seesportschule, dawniej domu Akademickiego Zw. Młodz. w Jastarni. Tam już znajdowało się kilkadziesiąt osób. Obladowani byli niemiłosiernie. Po co oni wiozą to wszystko — myślałem i tak z tym spowrotem nie wróca. Ja zaledwie posiadałem trochę chleba.

W nocy zaprowadzili nas na dworzec i kazali czekać na pociąg, który przyjechał dopiero następnego dnia w południe i zawiózł nas do Helu do mola, a tu jak było załadowali nas na statek, zapelniony już rannymi uciekającymi żołnierzami niemieckimi.

Ponury odejżdżałem. Bo wolność widziałem tam po drugiej stronie, która zamiast iść do mnie przybliżać, oddalać się zaczęła.

proza dokumentarna

Listy do Redakcji

Do Redakcji „Wsi”.
Proszę opublikować na łamach „Wsi” następującą notatkę:

W numerze 15 umieściła „Kuznica” recenzję z mojego tomiku „Kraj”. Autor recenzji Ryszard Matuszewski, przygodny poeta i przygodny krytyk, przy tej okazji pastwi się nad autentyzmem i książką, której nie rozumie. Zespół redaktorów „Kuznicy” mógłby zwrócić baczniejszą uwagę przy zamieszczaniu ryzykownych sprawozdań, kiedy występuje z postulatami walki o poziom i postępową etykę literacką. Matuszewski, wyliczając Młodą Polskę, Kasprowicza, Czechowicza, Jesienina, Bioka, Wierzyńskiego, Tuwima, Lieberta i Gałczyńskiego, którzy „dźwięczą w wierszach” moich, zapomniał dodać nazwiska poetów Kuznicy: Jastruna, Ważyka, Leca, Hertzka, Pasternaka i swoje, co najmniejszym uzupelniam.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku
J. B. OZÓG

Ponieważ drukowany w poprzednim N-rze List ob. A. Sandauera uległ zniekształceniu, podajemy poniżej właściwy tekst.

(Redakcja)

W artykule „Podsumowanie dyskusji o gwarze”, ogłoszonym na łamach „Wsi” (Nr. 15—16), niejaki p. Budzyk (Kazimierz) zajął się bliżej moją notatką „O literaturze gwarowej” („Wies” nr. 1). W artykule swym Budzyk ów m. in. pisze: Artur Sandauer uważa dialekty ludowe za zepsutą odmianę języka literackiego za „przekraczanie normalnego języka i pisowni”. „Chłop prawdziwy — czytamy w artykule Sandauera — stara się wyzbyć, jeśli może błędów swej pisowni; nasi zaś poeci, którzy są oczywiście inteligentami z wykształcenia, starają się przyswoić sobie tych błędów jak najwięcej”. Tego rodzaju poglądy dobre w uczoności jeszcze księdza Baki zostały u nas przezwyższone już z początkiem XIX w. A przecież dobiegamy obecnie połowy XX-go wieku i doprawdy wstyd trochę publicznie i w druku poważnie się takim opiniom przeciwstawiać, zwłaszcza jeśli pochodzą od krytyków literackich, od ludzi „uczonych w piśmie”.

W inkryminowanym ustępie mego artykułu „O literaturze gwarowej” pisałem dosłownie: „Prozaicy, ba nawet poeci chłopscy nie tylko, że wprowadzają do swych utworów wyrażenia gwarowe, ale — co więcej — normalnym polskim słowom nadają kształt jak najbardziej odmienny od literackiego. Poeta Paweł Kubisz uważa widocznie, że byłoby kompromitacją dla jego ludowości, gdyby — zamiast „stojym” — pisał „stoje”, a zamiast „pod mokróm wargóm” — „pod mokrą wargą”. Warto by się zastanowić, czemu lub komu ma służyć to przekraczanie normalnego języka i pisowni? Publiczności chłopskiej? Wątpię, aby chłop — chociażby z tego samego powiatu, co Kubisz łatwiej zrozumiał „stojym” niż „stoje”. Dla mieszkańca zaś drugiego powiatu, gdzie mówią na przykład „stoji”, słowo „stojym” będzie już zupełną zagadką. A może używając gwary, poeta chce wywołać wrażenie w czytelniku, że poezja jego jest rdzenna i ludowa? Lecz taka, robiona z rozmysłem, poezja chłopka — pozostanie zawsze tworem sztucznym. Chłop prawdziwy stara się wyzbyć, jeśli może, błędów w swej pisowni; nasi zaś poeci, którzy są, oczywiście, inteligentami z wykształcenia, starają się sobie przyswoić tych błędów jak najwięcej”.

Jak wynika z powyższego, nie twierdzą bynajmniej, jakoby dialekty ludowe były zepsutą odmianą języka literackiego — jak mi imputuje p. Budzyk — lecz jedynie, że pisarze, którzy język literacki doskonale znają, stosują gwary, w sposób sztuczny. Co innego — nie znać innego języka prócz narzecza, a co innego rozmyślnie do niego powracać. Trudno uwierzyć, aby ob. Budzyk tej różnicy nie widział. Wobec tego muszę stwierdzić, że pan ten świadomie fałszuje moje słowa i imputuje mi niedorzeczności, których nigdy nie miałem zamiaru wypowiedzieć.

Artur Sandauer

PRENUMERATA „WSI” WYNOŚI:

zł. 25 miesięcznie; zł. 75 kwartalnie;
zł. 150 półrocznie. Prenumeratę przyjmują: w Łodzi: Redakcja tyg. „Wies”, Łódź, Piotrkowska 96, tel. 100-98; Dział prenumerat „Czytelnika”, Łódź, ul. Piotrkowska 62, tel. 180-74; Księgarnia „Czytelnika”, Łódź, Piotrkowska 96, tel. 126-04; Księgarnia „Czytelnika”, Łódź, ul. Piotrkowska 147, tel. 126-65. Na prowincji: Wszystkie agencje pocztowe na konto PKO Oddział w Łodzi Nr 815 — Kolportaż „Czytelnika” (z zaznaczeniem: na „Wies”).

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król.
Komitet redakcyjny: Kałużyński Zygmunt, Morton Józef, Ozga-Michalski Józef, Olcha Antoni, Piętaś Stanisław. Komitet terenowy: Frasiak Józef Andrzej, Nęcza-Kubiniec Stanisław.

Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96, tel. 100-98.

Wydawca: Wydawnictwo Wydawnicze Z. S. Chł. w Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik”. Redakcja rękopisów nie zwraca.

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje redakcja tyg. „Wies”, Łódź, Piotrkowska 96, I p., tel. 100-98.

Drukarnia Nr 2, Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź, ul. Zwirki 2.

D-09136